

**wiersze ze zbioru *Visa tiesa apie Alisą Meler*
(*Cała prawda o Alicji Meler, 2008*)**

* * *

kuchenny tasak to smutne
odważne pożegnanie, jak
w filmie – on ją rzuca, ona
kroi cukinię z papierosem w uśmiechu
pocą się kawałki cukinii –
i tylko trochę – białe plasterki
jej oczu.

dopiero w następnym kadrze, kiedy on zatrzaśnie
drzwi stop-klatki, ona zwinie się
w nagą kulkę
i nie będzie jej wśród rozsypanych pieczarek.
oto porzucony tasak, na podłodze –
warzywa, zbity kubek,

– banalna scena, rozdzierająca kartkę twarzy
znudzonym ziewnięciem, dlatego nikt jej nie filmuje.

* * *

„Dla kruszyny złota, łyżki smacznej stawy”

tam, z głębin, mrugają do nas
wypolerowanymi łyżkami –
tysiące lustreczek,
migoczą w podziemiach, wskakują
nam na czoła
piekielne słoneczne zajęczki
ich miękkie łapki szronem stroszą nam włosy:
strach jeży szczecinę

wielkie oczy strachu, blade światła
przerażenie jak gwizdzący pociąg
uderza prosto w serce,
krztusząc się, wyskakujemy ze snu,
zamykają się z mlaśnięciem
czarne wody, zapadają się
w głąb czerni – tylko na skale
najtwardszego snu zieją owe
rozpadliny świadomości –
wewnętrzne demony w wewnętrznych kloakach
wrywają się na wolność
ślepi ichtiandrzy wiośtujący łyżkami –
rodzinne srebra, lustro – przed przebudzeniem
człowiek zobaczy tam tylko
swoją głupio wypukłą bojaźliwy pyszczek

Eros i Psyche

Eros i Psyche –
najzabawniejsza historia
najzabawniejsza prawda
w zbiorze starożytnych mitów:
tylko kompletna psyche
może wierzyć erosom:
wykukała to sobie stuprocentowa wieczna
mamuśka otoczona zazdrosnymi siostrami:
w taki obrazek każda z nas
może wfotoszopować swoją głowę:
tamta – rzuciła się ze skały – ale
chwycił ją lekkopióry Zefir,
w jego ramionach pokryta się rosą i zapachniała kremową
tortową różą, a teraz –
teraz, tak naprawdę, bardzo proszę –
siedzi pulchna dziewczyna, opycha się
lekkimi jak zefirek bezami, pochłania
romanse, w jej żyłach płynie czysta woda różana,
l'eau de rose – jak mówią Francuzi
o tej zabawnej
chciwie czytanej literaturze

Gaja

głupio nadawać bogom zwykłą postać,
trzeba ich malować tak, jak pamiętamy –
świełlistych, skrzydlatych, wielkich jak ratuszowa wieża,
nie takich, jakich się spotyka:
napętniająca worki ziarnem kawy staruszka –
jej promienie przenikają z plantacji w Kenii
do Starbucksa w Kolonii – nie zauważam jej, nie jest dla moich
oczu, co rano uśmiecham się do ładnej młodzieńkiej blondynki,
podającej plastikowy kubek.
Pod lewą pachą – poranna gazeta,
papierowy prom, co ołowianą rzeką przewozi mnie na środek dnia,
ołów paruje, szepczą szeleszczące strony
podziurawione śrutem liter –
uderza w serce odrzut
niewidzianych historii, myślę –
to kofeina, cóż oprócz niej i kołysania
tego promu mogłoby jeszcze rozbujać serce na
takie pobożne wysokości, kto by je co dzień rano zacerował,
wrzucam do gęby kosza zgnieciony plastikowy
kubek, jednorazowe koryto dla
zadowolonego kwiczącego serca
i
nie myślę o jakiejś tam złośliwej staruszce.